

kłem — ośmielę się twierdzić, że to nic dziwnego.

— Och! — zawołała — a to dlaczego?

— Zważywszy to, co mu pani wówczas w garderobie powiedziała. Gdybym był na miejscu Alreski, wiem, że byłbym przygnębiony... i to bardzo przygnębiony.

— Tak pan sądzi?... — wyjąknęła.

— Tak — odrzekłem — tak sądzę.

Posunąłem się daleko i serce biło mi trwoźnie. Nie zdziwiłbym się w tej chwili, gdyby zatrzymała powóz i kazała mi wysiąść. Lecz dobroć jej była anielska.

— Pan myśli o tem — rzekła łagodnie — że on mnie kocha, a że ja właśnie ów wieczór wybrałam na to, ażeby dać mu odpuszczenie?

Skinąłem głowę.

— To przecież chyba wystarczająca przyczyna dla wyjaśnienia czyjegoś przygnębienia...

— Myli się pan — odpowiedziała łagodnie. — Pan nie zna Alreski. Pan nie wie, jaką siłą ducha ten człowiek posiada. Mogę pana zapewnić, że niszczy go co innego, że niszczy go coś więcej, niż sama miłość nieodwzajemniona.

— Niszczy go, mówi pani?

— Tak, niszczy jego siły. Alreska zdolnym jest zgnieść w sobie przelotne uczucie. Duch jego potrafi wznieść się nad cierpienia i dolegliwości ciała i ponad cierpienia serdeczne. To, co go nurtuje, to jest coś, co dotyka najtajniejszych sprężyn jego ducha.

— I pani nie wyobraża sobie, co to być może?

Nie odpowiedziała.

— Doktorzy naturalnie tego rodzaju choroby uleczyć nie umieją — rzekłem

— Mogą próbować — rzekła.

— I pani sobie życzy, żebym ja spróbował? — spojrzałem jej prosto w twarz.

Pochyliła głowę.

— A więc spróbuję — zawołałem z przejęciem, zapominając, że nawet lekarzem Alreski nie jestem.

Kareta stanęła. W przeciagu mniej niż kwadransa staliśmy się prawie bliźniaczami.

Służący Alreski oczekiwał nas w bramie hotelu i nie mówiąc słowa, zaprowadził nas do swego pana.

Alreska leżał na wznak na pościeli w wielkim i zbyt kłopotliwym salonie. Tragiczna była bledź jego twarzy i gorączkowy blask jego oczu i znowu przyszedł mi na myśl tragiczny, posępny trzeci akt *Tristana*. Powitał nas uprzejmie spokojnym swoim głosem.

— Sprowadziłam młodego człowieka — przemówiła Roza — a teraz, dowiedziawszy się, jak się pan czuje, muszę uciekać. Późno już. Jakże, czy lepiej się pan czuje?

— Lepiej mi teraz, skoro panią widzę — uśmiechnął się Alreska. — Ale niech pani jeszcze nie odchodzi. Już od tylu dni nie słyszałem ani jednego tonu. Niech mi pani co zaśpiewa, zanim pani pójdzie!

— Dziś jeszcze? Teraz, w nocy?

— Dziś jeszcze. Teraz, w nocy.

— I cóż mam panu zaśpiewać?

— Cokolwiek bądź, bylebym głos pani usłyszał.

— Zaśpiewam „Sen Elzy“. Ale kto mi zaakompaniuje? Pan wie, że ja poprostu nie mogę sama sobie akompaniować do śpiewu.

Zebrałem całą moją odwagę.

— Gram bardzo marnie — odezwałem się — ale znam całą partyturę Lohengrina.

— O, jak to ładnie — rozśmiała się Roza. — Pewna jestem, że pan bardzo pięknie gra!

Alreska spojrzał na mnie wdzięcznie, a ja, drżąc, siadłem do fortepianu. Miałem rozpaczliwą treść i zaledwie wyszedłem z honorem. Ale też akompaniowałem najcudowniejszemu sopranowi w świecie.

Roza stała tuż przy mnie; nie ginął dla mnie najłżejszy odcień jej czarodziejskiego głosu, żaden odcień wyrazu, żadne subtelne drgnięcie uczucia. Słyszałem później śpiew jej wiele razy, ale chyba nigdy nie śpiewała tak, jak owego wieczora. Była głęboko wzruszoną; miała w Alresce idealnego słuchacza; boski jej głos brzmiał dziś, jak nigdy.

— Jesteś pani niezrównaną — przemówił Alreska. Pochwała z jego ust, z ust takiego artysty, wywołała na twarz jej rumieniec.

— Przybliży się pani — szepnął i ucałował jej rękę. — Głos pani dzisiaj brzmi wprost idealnie...

— Doprawdy?

— Tak. Coś panią poruszyło, a ja już zauważyłem, że pani najlepiej śpiewa wtedy, gdy jest pani wzruszoną...

— To być może — odpowiedziała. — Prawda, że dziś zobaczyłam... zobaczyłam kogoś, którego nie spodziewałam się nigdy zobaczyć. To tylko to, nic więcej. Dobranoc, drogi przyjacielu.

— Dobranoc.

Dotknęła łagodnie ręką jego czoła i skinąwszy głową, wyszła.

Alreskę po jej wyjściu ogarnęło niezmiernie znużenie.

— Wyobrażam sobie — zauważyłem — że to nie z przepisu doktora Mac Whirter'a trzymasz się pan tak późnych godzin. Zegary biją drugą.

— Ach, mój przyjacielu — odpowiedział zmęczony — czy to źle czy dobrze, muszę tak żyć, jak się przyzwyczaiłem. Od dwudziestu lat chodzę spać o trzeciej, a wstaję o jedenastej. Czyż mam



Genowefa bezsilna, milcząc, dała się ciągnąć...

ten tryb zmieniać dla złamanej nogi? Za godzinę ludzie moi zanoszą mnie z tem postaniem do mojej sypialni. Wtedy udawać będę, że śpię, ale spać nie będę. Jakoś w ostatnich czasach sen mnie opuścił. Dotychczas broniłem się przed sztucznymi środkami, ale chyba będę musiał poprosić pana o jakieś lekarstwo na sen. Dawniej musiałem wola przymusić się do snu. Ale nie teraz, nie teraz!

— Ja nie jestem lekarzem pańskim — zaprotestowałem.

— Wybacz pan, ale jesteś pan lekarzem moim — rzekł, patrząc na mnie spokojnie i dobrotliwie, co mnie aż do głębi serca wzruszyło. — Pamiętam dobrze lekką ręką pańską i zrzeczność, z jaką przy owym wypadku dałeś mi pan pierwszą pomoc. Dziś ten mały Szkot mi powiedział, że moja noga znakomicie się zrasta i że już tylko potrzebuję pielęgnowania. Prosiłem go, żeby pana naznaczył na swego następcę. On sam bardzo pana chwalił. Tak więc, panie Foster, czy zechce pan objąć moją kurację? Chciałbym, żeby mnie pan należycie zbadał, gdyż, jeżeli się nie mylę, muszę cierpieć na jakąś zagadkową chorobę.

Można sobie wyobrazić, jak mnie uszczęśliwiła i jak mi pochlebiła ta propozycja. Byłbym rad wyściskał Alreskę i jak dzieciak skakał po pokoju...

Naturalnie przybrałem wielce poważną minę i podziękowawszy za zaufanie, jałem ściśle zawodowo wypyttywać się o symptomy choroby.

— Nie ma żadnych symptomów — odpowiedział — z wyjątkiem stopniowej utraty sił żywotnych. Ale proszę, niech mnie pan zbada.

Zbadałem go bardzo starannie i wypytałem szczegółowo.

— No i cóż? — zapytał, gdy namyślał się, skończywszy.

— Otóż, łaskawy panie, mogę tylko panu powiedzieć, że pan ma nazbyt żywą wyobraźnię. Na to pan choruje, na nazbyt żywą wyobr...

— Pozwól, drogi przyjacielu — przerwał mi stanowczym głosem. — Przedewszystkiem proszę pana, bądź ze mną szczerym zupełnie. Niezłym jestem znawcą fizjonomii, a z pańskiej czytam, że stan mój jest dla pana zagadką.

— Przyznaję — odpowiedziałem. — Nie jesteś pan zwykłym człowiekiem, inaczej też z panem mówić należy, sam widzę. Wistocie, wyznaję, że stan pański jest zagadką dla mnie. Nie ma pan żadnej organicznej choroby, ale niewytłomaczoną niczem słabość organiczną, której wyjaśnienia trudno szukać w złamaniu nogi. Muszę pana obserwować i odkryć przyczynę złego. Tymczasem dać panu mogę jedną tylko radę. Niech pan pamięta, że szczęśliwy obrót rzeczy zależy głównie od silnej woli pańskiej.

— Dziękuję panu — odpowiedział. — Co się jednak tyczy siły woli, to już inna sprawa...

Po przystojnej jego, melancholijnej twarzy przemknął lekki uśmiech.

Była to już prawie trzecia godzina. Wstałem, chcąc się pożegnać.

— Zostań pan jeszcze chwilę. Mam jeszcze prośbę do pana.

— Jestem na usługi pańskie — odrzekłem.

— Panie Foster — zaczął — jesteś pan wielce wykształconym i obiecującym młodzieńcem i zaczynasz swoją życiową karierę. Niewątpliwie też ułożyłeś już sobie plan dalszej przyszłości. Ja jestem obcy dla pana i może to zarozumiałe z mej strony, chcieć te plany pańskie zmieniać. A jednak będę w tej chwili tak zarozumiałym. Może mi szczęście posłuży... Panie Foster, ja pragnę wyjechać z Anglii. Pragnę umierać w ojczyźnie...

Zrobiłem gest protestu przy słowie „umierać“.

— Powiem, jeśli pan woli, że pragnę żyć w ojczyźnie. Czy zechce pan pojechać ze mną, jako mój towarzysz? Pewien jestem, że byłoby nam dobrze ze sobą. Jabyśmy korzystali z umiejętności pańskiej i z przyjemności pańskiego towarzystwa — a pan, pan byłby względny dla kaprysów moich i moich dziwactw. O warunkach mówić nie potrzebujemy; zastosowałbym się do pańskiego żądania.

Chociaż nie miałem żadnego powodu poddawania się temu życzeniu, ani też żadnych zobowiązań wobec tego obcego mi w gruncie człowieka, tajny głos jakiś skłaniał mnie do przyjęcia. Może być, że grała tu rolę tajemna nadzieja, że wiążąc się z osobą Alreski, będę miał możliwość spotkania Rozetty Rozy... Zresztą pociągał mnie on sam. Do Alreski lgnęły serca ludzi. Już teraz czułem do niego więcej, niż sympatyę.

— Widzę z twarzy pańskiej — przemówił — że propozycji mojej nie jest pan niechętny. Czy się pan zgadza?

— Z ochotą — odpowiedziałem z uśmiechem.

Słowa te jakby bez mojej woli z ust mych wypłynęły.

— To bardzo pocziwie ze strony pańskiej!

— Bynajmniej — rzekłem. — Jeszcze sobie żadnych planów przyszłości nie ułożyłem. A potem, uważam to za zaszczyt dla siebie; wreszcie wyznaję, że pański „przypadek“ — niech pan to określenie daruje — interesuje mnie wielce. Dokąd pan zamierza jechać?

(Ciąg dalszy nastąpi).